SPUDŁOWALI.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

ORYGINALNIE NAPISANA

PRZEZ

KAZIMIERZA ZALEWSKIEGO.

Z ILLUSTRACYAMI KS. PILLATEGO.

(Prawa autorskie zastrzega się.)

WARSZAWA.

1878

SPUDŁOWALI.

SPUDŁOWALI.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

ORYGINALNIE NAPISANA

PRZEZ

KAZIMIERZA ZALEWSKIEGO.

Z ILLUSTRACYAMI KS. PILLATEGO.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI B. CASSIUSA,
DAWNIÈJ S. H. MERZBACHA.
Ulica Miodowa, Nr. 14.

1878.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Іюня 1878 года.

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 2406.

OSOBY.

Van der Knack — szynkarz.

Margot.

Henryk.

Don Diego.

Gibier.

Van den Teeraboom.

Rzecz dzieje się we Flessyndze, 1571 roku.



Henryk i Margot.

Scena przedstawia izbę szynkowną u Van der Knacka — z lewéj strony rodzaj kantoru, stoły i stołki — z przodu sceny w podłodze podnoszone drzwi do piwnicy. Drzwi w głębi, przy których dwoje okien — drzwi z prawéj i z lewéj za szynkfasem; z prawéj strony okno na samym froncie sceny.

Scena I.

DON DIEGO. — GIBIER. — VAN DEN TEERABOOM.

Za podniesieniem zasłony chwilowa pauza, po któréj ukazują się prawie naraz w trzech oknach głowy: Don Diega, Gibiera i Van den Teerabooma.

VAN DEN TEERABOOM (*rozgląda się dokoła i spostrzega towarzyszy*).

Pst!

GIBIER.

Pst!

DON DIEGO.

Pst!

VAN DEN TEERABOOM.

Niema nikogo.

GIBIER.

Tak jest; nikogo niema.

DON DIEGO.

Zatem możemy wejść.

GIBIER.

A więc wejdźmy (*wskakuje do izby z Don Diegiem*).

VAN DEN TEERABOOM.

Ale mnie pomóżcie, bo sam sobie nie dam rady.

Gibier.

Fasa!

Don Diego.

Kloc obrzydły! i takiemu chce się być alguazillem; (*pomaga z Gibierem wejść Van den Teeraboomowi*).

Van deń Teeraboom (*wszedłszy do izby*).

Uf! A tom się zmachał i byle to się tylko na co przydało.

Don Diego.

No, gdybyś tu był sam, istotnie, nie przydałoby się na nic.

Van dęn Teeraboom.

A toż dlaczego?

Gibięr.

Bo urżnąłbyś się, jak szwajcar, w jakiéj szynkowni, a ścigany przez ten czas dziesięć razy zdążyłby dać drapaka.

Van den Tęeraboom.

Nie masz mi co przymawiać, mości Gibier; jeśli ja mam gust do wina, to twoja skłonność do płci pięknéj także, aż nadto jest znana... Pismo święte ukarało Chama za naśmiewanie się z lekkiéj ułomności Noego, więc pić nie jest grzechem, — kiedy twoje postępki wyraźnie grzeszą przeciwko szóstemu przykazaniu. Strzeż się, Gibier!

Don Diego.

Raczéj strzeżcie się obadwaj, bo jak zwierzyna ujdzie, jak Bóg na niebie będziecie dyndać, dzwoniąc nogami w powietrzu.

Gibier.

A ty, mości Diego, myślisz że się wywiniesz dlatego, żeś Hiszpan, a my Flamandy? Hola, kochanku! jeśli Van den Teeraboom upił się pod „Złotą gęsią“ i opóźnił nasz wyjazd z Brukselli, ja w Melun zagadałem się z jakąś mleczarką i przenocowałem w oborze, to i ty, mości Diego, coś zadługo obwąchiwałeś jakiegoś szlachcica w Chateaudun... A skutki téj rozmowy (*wyciąga mu z kieszeni chustkę i tabakierkę*) oto są... nawet z cyframi...

DON DIEGO.

To prezent na pamiątkę.

GIBIER.

Aha! Tak dalece, że nas po twojém wyjściu zatrzymano i gdyby nie okazanie naszych świadectw z Brukselli, bylibyśmy poszli za ciebie do kozy. Nie mamy sobie zatém nic do wyrzucenia, a zamiast się kłócić, lepiéj powtórzmy sobie naszę instrukcyą, bo to sprawą gardłową pachnie.

DON DIEGO.

Ja pamiętam co do słowa.

VAN DEN TEERABOOM.

I ja téż. Mamy chwytać żywym czy umarłym i dostawić pod silną strażą, któréj nam miejscowy półkownik udzieli, barona Henryka Montigny.

GIBIER.

Młodzieńca lat trzydziestu, wysokiego bruneta, z wąsami i brodą.

DON DIEGO.

Który miał się zjechać ze swoim lokajem, Janem w oberży pod „Królem Karolem," między 7-ym a 10-ym bieżącego miesiąca.

VAN DEN TEERABOOM.

Który to Jan uwięziony, a następnie powieszony, całą tę sprawę na torturach przed śmiercią opowiadał.

GIBIER.

Zatém wszystko w porządku. Dziś mamy 8-go września Narodzenie Najświętszéj Maryi Panny, Ave Maria, gratias plena (*wszyscy trzéj żegnają się i odmawiają modlitwę*) a więc prawdopodobnie zdążyliśmy na czas.

DON DIEGO.

Jednak trzeba się o tém przekonać. Niema tu ani żywéj duszy... przedewszystkiem obejrzyjmy mieszkanie: tu za szynkfasem jest izba (*wchodzi we drzwi, po chwili wraca*). Niema tam nikogo.

GIBIER.

Tu są drugie drzwi i także izba (*wchodzi do niéj i powraca*) ciemna komórka, w któréj także nikogo niema.

VAN DEN TEERABOOM.

A więc wejdźmy do niéj i czekajmy na gospodarza. Jeśli będzie heretyk, każemy go zaraz przyaresztować, a poznamy to łatwo po tém, czy będzie wracał z kościoła, jako w dzień świąteczny (*wszyscy trzéj żegnają się*), czy téż z jakiego heretyckiego zboru.

DON DIEGO.

Van den Teeraboom dobrze mówi, znać że dziś nic jeszcze nie pił. Obejrzyjmy jeszcze, czy tam gdzie niema jakiéj skrytki.

GIBIER.

Albo kobiéty, bo z niemi zawsze niebezpiecznie (*wychodzą*).

Scena II.

VAN DER KNACK. — MARGOT.

VAN DER KNACK.

Mościa panno Margot! jestem z ciebie bardzo niezadowolony. Przez całą mszę uważałem, żeś prawie nie patrzyła w książkę do nabożeństwa, lub trzymała ją przewróconą do góry nogami.

MARGOT.

Bo odmawiałam godzinki z pamięci.

VAN DER KNACK.

Szanująca się dziewczyna, panna z oberży „pod Królem Karolem,“ nie odmawia godzinek z pamięci. A teraz, powiedzno mi, jakież-to było twe zachowanie się podczas kazania?... Ojciec Anzelm, najlepszy, najznakomitszy kaznodzieja u św. Barbary, mówi o heretykach, i wszystkich plagach, przez nich na kraj sprowadzonych; wszyscy płaczą; sąsiadka, pani Vanloo, utrzymująca dom „pod Zielonym Smokiem“, szlochała

jak w zołzach, a ta nieszczęsna żeby choć jednę łzę końcem fartucha obtarła!.. Cóż ztąd!.. oto, że ja czując cały ciężar dobréj opinii oberży „pod Królem Karolem,“ widząc, że ty nie czynisz zadość swym obowiązkom, z podwójną gorliwością zacząłem pracować za ciebie i za siebie, ryczałem jak wół i przez to nabawiłem się chrypy i kataru. Powiedz mi, dziewczyno, za co ja tobie płacę, jeśli mam sam ryczeć, zamiast cobyśmy mogli we dwoje, dla utrzymania honoru naszéj oberży, wylać po kilka łez skromnych i wypuścić po kilka westchnień głębokich

MARGOT.

Zdaje mi się, że w naszéj umowie nie było wcale takich warunków. Zgodziłam się do pana, aby utrzymywać porządek i obsługiwać gości. Co prawda, gości teraz coraz mniéj, gdy pan „Żebraków“—patryotów przyjmować nie chcesz, ale za to z porządkiem mam dosyć do roboty. Godząc mię, pytałeś pan, czy jestem katoliczką; powiedziałam panu, że tak jest i to ci wystarczyło; kontentuj że się pan tém i nadal pozostaw mi mój sposób proszenia Boga taki, jaki mi najlepiéj trafia do przekonania i jaki według tegoż przekonania, najprędzéj do stóp Przedwiecznego dobiegnie... Ja się modlę dla siebie, panie Van der Knack, a nie dla króla, nie dla oka ludzkiego.

VAN DER KNACK.

Ależ, nieszczęśliwa dziewczyno, zgubisz mię i siebie; dziś nie wolno modlić się jak kto chce, tylko jak każą... Jakby cię raz capnęli, przepadło, zginęlibyśmy oboje... No, jakby tam ciebie spalili, czy powiesili, szkodaby się nie wielka stała; ale w dzisiejszych czasach, kiedy nie tylko sługa za pana odpowiada, co jest słuszne, ale nawet pan za sługi, co jest krzyczącą niesprawie... (*rozgląda się i podnosząc głos*), chcę mówić, co jest dowodem najwyższego rozumu, łaski i sprawiedliwości najmiłościwiéj panującego nam króla Filipa II, muszę czuwać przecie nad tobą, bo tu o moję skórę chodzi, skórę, która jest bardzo czułą, a która mogłaby mocno ucierpieć przy tobie...

MARGOT.

Bądźcie spokójni; komu szubienica naznaczona, ten od miecza nie ginie...

Van der Knack.

Margot, jesteś głupia! Ja nie chcę ginąć od miecza, ani od szubienicy; pragnę, jak wszyscy Van der Knacki z ojca na syna, umrzeć własną śmiercią, we własném łóżku, paląc moję fajkę i zapijając kufel piwa; więc proszę cię i nakazuję, żebyś mi się sprawowała tak, jakby to i twojém było życzeniem widzieć mię porządnie wystawionego na katafalku, u św. Barbary, a nie w dole „Żebraków". Jeśli nie, choć nieźle mi służysz, prawda, że za drogie pieniądze, wolę się z tobą rozstać zawczasu.

Margot (*n. s.*).

Kto wie, czy nie wcześniéj jak myśli. (*Głośno*). Jak tam chcecie, panie Van der Knack... ja pójdę zająć się śniadaniem; daję wam czas do namysłu (*wychodzi we drzwi, na lewo*).

Scena III.

Van der Knack (*sam*).

Oj! ciężkie nastały czasy... dochodu z oberży prawie żadnego, a za to strachu co niemiara. Od miesiąca już przeszło nie miałem gości, a ci co przychodzą na piwo, po większéj części piją na kredyt, bo choć nie należą do stowarzyszenia „Żebraków," wszyscy są tu żebrakami w istocie... Oj! bokiem nam wychodzą te hiszpańskie rządy (*przerażony, rozgląda się i podnosząc głos*), oby nam się długo święciły... jak mi się téż ta gęba rozpuściła, a to wszystko za panowania przeszłego cesarza, nie tak jak teraz; wtedy wolno było mówić, co kto chciał... To téż dziś połowę już wymordowano, a druga nie wiele więcéj warta... Jezus, Marya! Co ja gadam! Co ja gadam! Milczeć, przeklęty języku, bo cię razem z twoim panem rozćwiertują na kawałki.

Scena IV.

Van der Knack. — Gibier. — Van den Teeraboom. — Don Diego (*wychodzą z prawéj i zachodzą mu niepostrzeżeni z boków i z tyłu*).

Gibier (*z prawéj*).

Cicho!

DON DIEGO (*z lewéj*).

Milczenie!

VAN DEN TEERABOOM.

Ani mrumru!

VAN DER KNACK.

Jużem trup, nieboszczyk ze mnie, nie żyję, powieszono mię! Panowie! ja jestem wiernym sługą najmiłościwiéj nam panującego króla Filipa II, (*z pokłonem*): niech będzie wieczna cześć i chwała jego osobie... Ja „Żebraków“ na oczy nigdy nie widziałem; heretyków boję się jak ognia piekielnego i zawsze jestem najpierwszym na rynku, gdy ich wieszają i palą. Panowie! ja jestem zrujnowany oberżysta, przez moje przywiązanie do Hiszpanów i do panującéj rodziny; ja ubóstwiam króla, czczę księżnę Małgorzatę, a księcia Albę w sercu noszę... Panowie!... ja wprawdzie nie mam żony i dzieci...

DON DIEGO.

A skończysz ty raz, głupi tchórzu... czegóż gadać tak dużo... Co najwyżéj, grozi ci szubienica.

VAN DER KNACK.

Bagatela! dziękuję.

GIBIER.

Dotego mogą cię połechtać jeszcze przedtém, jeśli nie wyznasz natychmiast całéj prawdy.

VAN DER KNACK.

Jakiéj prawdy? dobrzy panowie; ja wszystko już powiedziałem com wiedział, szlachetni słudzy korony i prawa.

DON DIEGO.

Zaraz to zobaczymy. Kto zamieszkuje tę oberżę?

VAN DER KNACK.

Powiem całą prawdę, nic więcéj i nic mniéj, tylko prawdę.

DON DIEGO.

Kto zamieszkuje tę oberżę?

Van der Knack.

Ale łechtania nie będzie?

Gibier (*n. s. do Diega i Van den Teerabooma*).

Uspokójmy tego błazna, bo inaczéj nie skończymy dzisiaj.

Van den Teeraboom (*j. w.*).

Najlepiéj będzie, jak wam już przedstawiałem, podać mu butelkę jednę i drugą, a przy rozmowie wyciągnąć go na słówko.

Don Diego (*j. w.*).

Żebyś się ściął odrazu; mam ja inny sposób. (*Głośno*) Słuchaj no, mości oberżysto: w twéj gospodzie miało być popełnione wielkie przestępstwo... bardzo być może, i my chcemy przypuszczać, że ty nic o tém nie wiesz; ale w takim razie tylko szczerość i współdziałanie z nami ocalić cię mogą.

Van der Knack.

A! panowie, jeśli chodzi o chwytanie przestępców, jestem gotów w téj chwili chodźby na koniec świata biedz za nimi.

Don Diego.

Powoli, powoli szlachetny Van der Knacku. Przedewszystkiem odpowiadaj na nasze pytania. Kto zamieszkuje tę oberżę?

Van der Knack.

Ja i moja służąca Margot.

Don Diego.

Wierna sługa najmiłościwiéj nam panującego króla Filipa II?

Van der Knack.

Między nami mówiąc, nie zupełnie. Niby katoliczka ale na dzisiejszém kazaniu księdza Anzelma nie płakała.

Gibier.

Pomyślimy o niéj.

Van der Knack.

Mogę ją natychmiast oddać w wasze ręce.

DON DIEGO.

To potém, potém. Teraz o ważniejsze rzeczy tu chodzi.

VAN DER KNACK.

Jeszcze o ważniejsze! Jezus Marya! febra mię trzęsie.

GIBIER.

Więc tedy nie masz nikogo w swéj gospodzie, oprócz siebie i swojéj służącéj?

VAN DER KNACK.

Chybaby bez mojéj wiadomości znalazł się ktoś tutaj w ten sposób jak panowie; nie byłby mi gościem równie miłym; ale równie niespodziewanym.

DON DIEGO.

Milcz i gadaj wtedy tylko, gdy cię pytają.

VAN DER KNACK.

Już milczę, jak sum.

DON DIEGO.

Dawno nie masz gości? (*Van der Knack, milczy; Diego zniecierpliwiony, uderza nogą w podłogę*). Dawno nie masz gości? No, gadajże, hultaju!

VAN DER KNACK.

Od dwóch tygodni; (*n. s.*). Boże mój! co to za ludzie! Każą mi milczeć, to znów mam gadać teraz. (*Głośno*). Tak jest; od dwóch tygodni nie mam gości; pokoje na górze wszystkie zamknięte... Ostatni raz, będzie temu dwa piątki, stał w nich Bilbo, krawiec z Gandawy, który nawet został mi winien pół pistola...

GIBIER.

Cicho! (*N. s. do Diega i Van den Teerabooma*). Oczywiście ten niedołęga nie ma interesu zwodzić nas.. przybyliśmy na czas... Otóż, obecnie chodzi o to, aby ptaszka nie płoszyć. Trzeba nam będzie rozgospodarować się tutaj.

VAN DEN TEERABOOM (*j. w.*):

Tak, ale przedewszystkiem trzeba usunąć to bydlę; mógłby się wygadać, lub jakieś głupstwo zrobić.

DON DIEGO (*j. w.*).

Słusznie mówisz, (*naradzają się pocichu*).

VAN DER KNACK.

Św. Krysztofie, patronie mój! wyratuj mię z téj okazyi, a zakupię na twój ołtarz cztery świece z najczystszego wosku tak wielkie, jak wielkiem będzie twoje miłosierdzie nademną grzesznym.

DON DIEGO.

No, kochany gospodarzu! musisz się zabrać z nami.

VAN DER KNACK.

Zginąłem!

GIBIER.

Nie bój się, miły Van der Knacku; nic ci się złego nie stanie; doprowadzisz nas tylko do najbliższego posterunku straży, bo, jako nowoprzybyli, nie znamy miasta.

VAN DER KNACK.

W takim razie Margot mogłaby panom posłużyć; odwach jest daleko ztąd a ja, przyznam się panom, jestem tak osłabiony, że ledwo się na nogach trzymam.

DON DIEGO.

To nic, my ci iść dopomożemy.

GIBIER.

Tak jest, my ci dopomożemy, temwięcéj, że nie mamy czasu do stracenia... Van den Teeraboom, podaj ramię szlachetnemu Van der Knackowi; nie można odmawiać osłabionemu chrześciańskiéj pomocy. (*Van den Teeraboom i Gibier biorą Van der Knacka pod rękę, przez ten czas Diego ściąga zręcznie z bufetu kubek i chowa go do kieszeni*).

VAN DER KNACK.

Przynajmiéj pozwólcie mi pożegnać się z sąsiadami.

GIBIER.

A toż na co; wrócimy tu niedługo; (*n. s.*). Zdaje mi się, że Hiszpan coś zwędził ze stołu.

DON DIEGO.

No, panowie, daléj, w drogę.

VAN DER KNACK.

Św. Krysztofie! ratuj... bo ci nie dam świec i przeniosę się do św. Guduli (*z płaczem*), jeśli mi tylko czasu na to starczy (*wychodzą*).

Scena V.

MARGOT (*wychodzi z lewéj i rozgląda się za wychodzącymi*).

To zbiry!... Wkrótce prawdopodobnie powrócą. W każdym razie, nie zapewniwszy się, nie można nawet myśleć o ucieczce. Muszę z nim pomówić otwarcie, a wtedy może się znajdzie jakaś rada, (*odchyla drzwi do piwnicy*). Panie Henryku! możesz pan wyjść na chwilę; niema nikogo.

HENRYK (*z piwnicy*).

Dziękuję panience; zaraz idę.

(*Henryk wychodzi z piwnicy*).

Scena VI.

MARGOT—HENRYK (*wychodzi z piwnicy*).

HENRYK.

Wie panienka, że to jednak przyjemnie wydostać się na światło dzienne po kilkunastu godzinach, spędzonych pod ziemią.

MARGOT.

Tak; tylko, że tam pan bezpieczny, gdy tymczasem tutaj...

HENRYK

Sądzę, że i tutaj, oprócz twoich oczu, niczego obawiać się nie potrzebuję.

MARGOT (*szyderczo*).

Więc tak, ukrywasz się pan tylko dla fantazyi, z miłości dla mnie?

HENRYK.

Tego nie mówię, gdyż kiedy tu przybyłem, nie znałem cię jeszcze, śliczna panno Margot... Ale teraz, niech mię piorun trzaśnie, jeślim nie gotów rok cały siedzieć w téj cuchnącéj dziurze, bylem, jak najczęściéj mógł ściskać tę rączkę maleńką, widzieć tę śliczną buzię, a kibić wysmukłą...

MARGOT (*j. w.*).

Nie zły masz pan gust, jak na zecera z drukarni.

HENRYK.

Jest się przecie człowiekiem obytym w świecie i nie z jednego pieca chleb się jadło; składałem téż przeróżne poematy i dzieła rycerskie.

MARGOT (*j. w.*).

Aż doszedłeś pan do składania plakatów rewolucyjnych.

HENRYK.

Nie wiedziałem wtedy bardzo, co robię, a wreszcie... nie żałuję tego. Dało mi to sposobność do poznania ciebie, śliczna panno Margot! Kiedy musiałem uciekać z Brukselli, mój przyjaciel, Jan Rapé, który służy, podobno, za lokaja u jakiegoś wielkiego pana, równie skompromitowany jak i ja w ostatnich wypadkach, dał mi list do ciebie, panno Margot, mówiąc: „Zgłoś się do oberży ‚*pod królem Karolem*,“ do starego Van der Knacka; znajdziesz tam najpiękniejszą dziewczynę we Flessyndze, pannę Margot, a ona wynajdzie ci bezpieczne schronienie aż do mojego przyjazdu.“ Zrobiłem jak mi zalecił Rapé, i doprawdy gotowem z całą przyjemnością czekać na niego całe miesiące a nawet lata... Gdybym tylko więcéj czasu przy tobie, a mniéj w piwnicy mógł spędzać, kochana panno Margot!

MARGOT.

A wie téż pan o tém, że zbiry kręcą się koło téj gospody, i że przed chwilą uprowadzili gospodarza oberży.

HENRYK.

Tam do licha! Kogóż oni szukać tu mogą?

MARGOT.

No, przecież nie biednego zecera z drukarni; możesz pan być spokojny. Gdybyś pan, zamiast krótkiego imienia „Henryk,“ nosił nazwisko Montigny, a w dodatku tytuł barona, gdybyś zamiast prostym zecerem był synowcem barona Montigny'ego, zamordowanego niedawno w Hiszpanii, z rozkazu króla Filipa, posła,—to co innego; wtedy powiedziałabym ci: strzeż się, panie baronie, zdradzono cię, wiedzą że się ukrywasz we Flessyndze, że czekasz na swego lokaja, Jana Rapé, który ma ci przywieźć pieniędzy i wiadomość, na jakim statku będziesz się mógł ztąd wydostać do Anglii; powiedziałabym, strzeż się, baronie, Henryku Montigny, ajenci krwawéj rady są już na twoim tropie. Na szczęście! Jesteś pan tylko zecerem w jakiéjś drukarni, bo... zapomniałem nazwiska.

HENRYK (*n. s.*).

Powiedziano jéj kto jestem... Zryzykowałem połowę, dlaczegóż bym wszystkiego na kartę postawić nie miał. Ha! próbujmy szczęścia. (*Gł.*). Czy byłaś kiedy w Bruxelli, panno Margot?

MARGOT.

Tam się urodziłam; jestem chrzestną córką hrabiny Horn-Montigny.

HENRYK.

Macochy mego stryja! I pocóż grasz tak długo komedyą ze mną?

MARGOT.

Życzyłeś pan sobie bym cię nie znała, to téż, wierz mi pan, że i w téj chwili nie wkradałabym się w twe zaufanie, gdyby konieczność tego nie wymagała.

HENRYK.

A więc—tak! przyznaję się, śliczna dzieweczko: jestem owym baronem, Henrykiem Montigny, na którego głowę nałożono cenę i który dzisiaj nie tylko z nazwiska jest żebra-

kiem, bo mu całe mienie wspaniały nasz wielkorządca zabrał, jak własne, kontentując się chwilowo majątkiem, gdy głowy mi dotąd zabrać nie mógł. To wszystko nie przeszkadza, śliczna panno Margot, aby baron Montigny, czy zecer z zakazanéj drukarni, nie uczuwał się jednakowo szczęśliwym przy twoim boku i pod twoją opieką, a książę Alba największą może zrobił mi przykrość tém, że nic więcéj w téj chwili ofiarować ci nie mogę, jak ten skromny pierścionek, klejnocik rodzinny, który racz przyjąć i nosić na pamiątkę o mnie, lub *po mnie.* (*Wkłada jéj na palec pierścień, zdjęty w czasie jak mówił*).

MARGOT.

Panie baronie, pozwól, że ja teraz parę słów powiem o sobie: wychowałam się w domu hrabiny Horn-Montigny, a jako jéj chrzestna córka często miałam sposobność widywania zacnéj téj pani; nie potrzebuję mówić panu, jak boleśnie zostaliśmy dotknięci aresztowaniem pana hrabiego Horn i tém co daléj zaszło. Kiedy panowie radziliście po swojemu nad ocaleniem wszystkich, my, służba, układaliśmy nasze plany. Dla nich to, już rok przeszło służę w téj oberży, utrzymując ciągłe z Bruksellą stosunki, a jeśli, niestety, ś. p. panu mojemu nie udało się korzystać z mojego poświęcenia, to mogę się poszczycić, żem jednak wielu zacnym Żebrakom — wygnańcom ułatwiła ucieczkę od niechybnéj śmierci. Rapé znał mię dobrze i dlatego przysłał cię do mnie, panie baronie; ale dziś - jest to gra niebezpieczniejsza niż kiedykolwiek, gdy środków nie mamy żadnych, a szpiegi są już oczywiście na twoim śladzie.

HENRYK.

Cóżc hcesz, drogie dziecię? Przykro jest umierać gdy się ma lat trzydzieści i życie zdaje się uśmiechać do człowieka, ale, jeśli już mam zginąć, nie chcę spowodować twojego nieszczęścia; zgubiłabyś się wraz ze mną, przyczyniając mi nie potrzebnie wyrzutów przed śmiercią. Pozwól mi złożyć całusa na twych ślicznych usteczkach: będzie to ostatnie pożegnanie z tém, co życie ma najpiękniejszego: z miłością, młodością i rozkoszą, a późniéj sam się oddam w ich ręce. Niech mnie powloką na tortury i na rusztowanie, na którém zawsze będę

miał dość siły aby mężnie skończyć z okrzykiem na ustach: „niech żyje wolność Flandryi!“

MARGOT.

Na miłość Bożą! ciszéj! panie baronie! oni mogą być blizko! lub ktokolwiek z przechodniów...

HENRYK.

Prawda — tu nawet swoi zdradzają!... No, puść mię, dzieweczko!

MARGOT.

O! nigdy, ja cię ocalę, panie baronie!

HENRYK.

Jakim sposobem, dziecko? Gdybym nawet wydostał się ztąd, gdzież pójdę? Jakkolwiek smutny jest los wygnańca, możebym znalazł środki utrzymania na obcéj ziemi, ale z własnego kraju, gdzie dla nas niema prawa do życia i pracy jakże się wydostanę ja, prawdziwy żebrak!

MARGOT.

Pozwól mi pomyśleć nad tém, panie baronie; pomódl się tymczasem, gdy tam będziesz ukryty; ja modliłam się tak szczerze za twoję wolność dziś rano. Wszakże jest Opatrzność, jest Bóg, który czuwa nad nami.

HENRYK.

Pan Bóg w ostatnich czasach został Hiszpanem, jak mówił Gizyusz po zwycięztwach Alby; to pewno, że od naszego nieszczęśliwego kraju musiał chyba odwrócić oczy.

MARGOT.

Nie traćmy nadziei, panie baronie; tymczasem wracaj, proszę, do swojéj kryjówki i nie wychodź z niéj pod żadnym pozorem, chyba kiedy ja cię zawołam.

HENRYK.

Doprawdy! mam ochotę nie usłuchać cię i spełnić mój pierwotny zamiar. Życie w tych warunkach nie warte, aby się o nie tak troszczyć.

MARGOT.

Każdy chrześcianin ma obowiązek bronić się od śmierci; jesteś przecie katolikiem, panie baronie; miéj odwagę życia; zresztą, naraziłbyś pan nie tylko siebie i mnie, ale i Jana Rapé, który może lada chwila tu przybyć.

HENRYK.

Więc koniecznie każesz mi wracać do téj ciemnicy?

MARGOT.

Proszę i błagam o to.

HENRYK.

Na prośbę z takich ust nie umiałbym być upartym, ale téż rażące przeciwieństwo siedzieć potém w tym lochu; daje mi to przedsmak grobu.

MARGOT.

Obyś pan długo nie poznał różnicy!

HENRYK.

Wolałbym podobieństwo do ciebie, śliczna Margot; do widzenia! A gdyby mię odkryto, na wszelki wypadek pamiętaj, że mię nie znasz i żem się tu ukrył mimo twéj woli i wiedzy.

MARGOT.

Dobrze! Zejdź pan już, bo lada chwila nadejść mogą.

HENRYK.

Do widzenia! Tu, lub gdzieindziéj, choć co prawda, wolałbym tu niż gdzieindziéj. (*Schodzi do piwnicy*).

MARGOT.

Co jednak wymyśleć? jakiż środek wynaleść, aby go ocalić! Nigdy o nikogo tak mi nie chodziło, jak o niego: piękny, młody, szlachetny, niedawno jeszcze tak bogaty i miałby umrzeć? Nie, to niepodobna! No, Margot! Ocalałaś innych, którzy w setnéj części jego nie byli warci, a dziś na nic byś się zdobyć nie mogła dla człowieka, przy którym poraz pierwszy w życiu uczuwasz przyśpieszone bicie serca...? No, myśl-że, myśl, biedna głowo, boć ją lepiéj stracić dla niego, niż oddać go pod miecz katowski.

Scena VII.

MARGOT. — DON DIEGO. — GIBIER. — VAN DEN TEERABOOM.

DON DIEGO.

Niech będzie pochwalony!

MARGOT.

Na wieki wieków. (*N. s.*). Są złowróżbne ptaki.

GIBIER.

Panienka tu sama?

MARGOT.

Gospodarz wyszedł, widać, na miasto.

VAN DEN TEERABOOM.

Można panienkę prosić o buteleczkę wina i coś na przekąskę?

MARGOT.

I owszem, wszakże oberża od tego. (*N. s.*). Gdybym ich mogła spoić! (*Idzie za szynkwas i przynosi butelkę i zakąski, które stawia przed nimi*).

DON DIEGO.

Panienka dawno w téj gospodzie?

MARGOT.

Rok już przeszło.

DON DIEGO.

Dużo tu gości?

MARGOT.

Na stancyi, może z miesiąc już nikt nie był, a pić przychodzą, tylko nie płacą za to.

VAN DEN TEERABOOM.

Dobrze robią, jeśli mają kredyt; to poczciwe miasto — ta Flessynga, kiedy tak łatwo borgują; u nas, w Brukselli, (*Gibier daje mu kułaka w bok*).

Gibier (*do Van den Teerabooma*).

Będziesz ty cicho, opoju?

Don Diego.

Dlaczego przeszkadzasz mówić naszemu towarzyszowi? Panienka, jako poczciwa Flamandka, pewnoć nas nie zdradzi gdy się dowie, że Jan Rapé z kolegami czekają tu na swego pana, z którym razem chcą szukać schronienia przed prześladowaniem tyrana Alby.

Margot.

Jeśli to o mnie mowa, to źleście się wybrali, moi panowie. Gospodarz i ja nie wdajemy się w takie rzeczy; są tu od tego inne oberże: my chwalimy Boga, czcimy króla i szanujemy wielkorządcę, księcia Albę, jako naszego namiestnika; to też, jeśliście tu panowie przyszli co innego robić, jak pić wino lub piwo, zagryzając serem lub chlebem z masłem, to wychodźcie, póki czas, bo jak gospodarz wróci, nie dobrze z wami być może, a i ja sama gotowam dać znać do posterunku.

Gibier (*n. s. do Diego*).

Hiszpański sposób się nie udał; trzeba spróbować innego, bo gotowa hałasu narobić. (*Głośno*). Mój przyjaciel chciał zażartować tylko z panienki i wypróbować, czy naprawdę jesteś wierną poddaną króla i księcia, a skorzystał, że, gdyśmy wyjeżdżali z Brukselli, nazwisko jakiegoś Jana Rapé wywoływali trębacze po rogach ulic; ale znać panienka równie odważna jak ładna i ustraszyć się nie dała.

Margot.

Bo my tutaj do takich strachów musimy być przyzwyczajeni: miasto portowe — to droga wszystkich „*Żebraków*“ i niespokojnych głów.

Van den Teeraboom (*pijąc*).

To prawda, że niespokojnych, bo im się na karku usiedzieć nie chce.

Margot.

Ot, i przed chwilą przejeżdżał tu jakiś kawaler, może jaki książę, albo hrabia, bo znać w nim było krew pańską i pytał o nazwisko, podobne, jak panowie wymówiliście przed chwilą.

GIBIER.

O Jana Rapé.

MARGOT.

Tak jest, zdaje się, że o Jana Rapé.

DON DIEGO.

Jakże wyglądał ten szlachcic?

MARGOT.

A no, lat ze 30, wysoki, brunet, twarz ściągła, z pełnym zarostem; zresztą podobny do innych ludzi.

GIBIER (*n. s. do towarzyszy*).

To on! (*Głośno*). I gdzieżeś go panienka pomieściła?

MARGOT.

Jużem mówiła przecie, że my „*pod Królem Karolem*" nie przyjmujemy podejrzanych ludzi, — gospodarz wyraźnie mi to zalecił i ja się téż trzymam tego święcie, a w dodatku o tym można było być pewnym, że to buntownik, bo miał „*medal żebraczy*" u kapelusza.

DON DIEGO (*n. s.*).

A to padalec dziewczyna! wyprawiła go.

GIBIER.

To panienka naprawdę taka nieczuła; żeby biednego i przystojnego, sądząc z jéj opisu, szlachcica, wyprawiać bez przytułku, to trzeba nie mieć serca.

MARGOT.

Ja mam serce tylko dla wiernych sług królewskich.

GIBIER. (*n. s.*).

Brr! Jak na mnie spojrzała! Śliczna dziewczyna, żebym tak był sam.

DON DIEGO.

Czy to w całéj Flessyndze takie panuje usposobienie? Jeśli tak jest, to gotów ów kawaler chyba przenocować na dworze.

MARGOT.

O! Znajdzie on łatwo przytułek i będzie jak książę przyjęty u pani Vanloo „pod Zielonym Smokiem,“ albo u ojca Peemtraekeefoor „pod Koroną Hiszpańską;“ to gniazda wszystkich „Żebraków;“ nawet prosił mię, żebym wskazała te gospody owemu Janowi Rapé, gdyby się tu zjawił. Nie zrobię ja tego, ale ponieważ nie wiem, kiedyście panowie mówili prawdę, teraz czy na początku, to korzystajcie jak chcecie, kiedym się już wygadała.

DON DIEGO (*n. s. do Gibiera*).

Biegnij pod „Zielonego Smoka“, ja pędzę do Peemtraekeefoora, a Van den Teeraboom tutaj zostanie na straży; oby się tylko nie upił, bo już się przypiął do butelki.

GIBIER (*n. s.*).

Ja bym to samo zrobił do dziewczyny! Psia służba! na miejscu chwili spokojnie usiedzieć nie można. Może mi się uda powrócić, wolałbym już Hiszpanowi odstąpić więźnia.

DON DIEGO (*po porozumieniu się z Van den Teeraboomem*).

Panienko! Zostawiamy ci tu naszego towarzysza, który za wino zapłaci, a sami pójdziemy obejrzeć miasto i statki w porcie.

MARGOT.

Niema się czemu bardzo przypatrywać: trzy zaledwie stoją teraz na kotwicy; w ostatnich czasach i handel i ruch osób ustał. Z tego okna jest widok na morze: można widzieć wszystkie trzy okręty — oto „Księżna Joanna,“ — to „Piękna Amelia,“ a to „Błyskawica.“ Widzicie, jak się kołyszą na falach.

DON DIEGO.

Zawsze lepiéj zobaczymy zblizka. (*Do Gibiera*). Gibier, biegnij „*pod Smoka,*“ ja „*pod Koronę;*“ obym tam znalazł naszego zbiega.

GIBIER (*j. w.*).

Pędzę. (*Do Margot*). Panienko, ja tu powrócę.

MARGOT (*z umizgiem*).

Będę bardzo rada.

GIBIER.

Uf! Żebym tak nie musiał odchodzić. (*Wychodząc, do Van den Teerabooma*). A pamiętaj, nie spij że się tu, ty gąbko!

VAN DEN TEERABOOM.

Cóż znowu! ledwiem gębę przepłukał.

DON DIEGO (*j. w.*).

Pamiętaj, że na tobie ciąży odpowiedzialność, żebyś nikogo ztąd nie wypuścił.

VAN DEN TEERABOOM.

No, przecie dziewczynie dam radę, bądźcie spokojni!

DON DIEGO.

Pamiętaj, (*wychodzi z Gibierem*).

Scena VIII.

MARGOT.—VAN DEN TEERABOOM.—(*Długa pauza*).

VAN DEN TEERABOOM.

Panienko, jakże ci na imię?

MARGOT.

Margot, do usług.

VAN DEN TEERABOOM.

Panienka tu tak sama?

MARGOT.

Jak pan widzi.

VAN DEN TEERABOOM.

Nie boi się panna złodziei?

MARGOT.

A cóżby tu ukradli; gdyby wynosili stoły lub stołki, usłyszeliby sąsiedzi.

VAN DEN TEERABOOM.

No, a wino? Prawda, że to co piłem — nie szczególne i nie ułakomiłby się na nie nawet złodziéj; (*pijąc*) chyba by był bardzo spragniony.

MARGOT.

Mamy tu i lepsze, tylko na wyższe ceny. To, coś pan pił, to wino krajowe z Melun, ale jest u nas i Burgund, Alicante, Xeres, Pacharet stary.

VAN DEN TEERABOOM.

Burgund! Xeres! Alicante! Pacharet stary! Jak żyję nie piłem Pacharetu.

MARGOT.

Mogę służyć panu.

VAN DEN TEERABOOM (*do siebie*).

Tak, a czém zapłacę? Ech, co tam; gospodarz w kozie, w najgorszym razie i ją zataszczymy. (*Głośno*). Jeśli panienka łaskawa, to prosiłbym mały flakonik, tylko maleńką buteleczkę. Umiarkowanie przedewszystkiem.

MARGOT (*przynosi mu butelkę wina*).

Służę panu, to na dwie korony butelka.

VAN DEN TEERABOOM.

Hrabiowski trunek! Panienka nie używa?

MARGOT.

Czemużby nie, jeśli pan tak łaskaw.

VAN DEN TEERABOOM.

Miła dziewczyna! Aaa,... to dobre wino, bukiecik!... zapaszek!... bardzo, bardzo dobry trunek!

MARGOT (*wylewa swój kieliszek pod stół*).

Pan widać znawca?

VAN DEN TEERABOOM.

Oho! I jaki! Żeby panienka wiedziała, co tego szlachetnego płynu już tędy (*pokazując brzuch*) przeszło: beczki, powiadam panience, beczki.

MARGOT (*n. s.*).

Wierzę, ale ile mu do głowy potrzeba? (*Głośno*). Nie sądziłabym, patrząc na pana; mój kieliszek już pusty oddawna, a pan jeszcze drugiego nie skończył.

Van den Teeraboom.

A, istotnie. (*n. s.*). Nieźle pije dziewczyna, (*nalewa jéj i sobie*). Trąćmy się! za nasze zdrowie, panno... Jakże się to panienka nazywa?

Margot.

Margot, a pan?

Van den Teeraboom.

Van den Teeraboom. Stare nazwisko: mój dziad był zakrystyanem u św. Guduli w katedrze brukselskiéj, a mój ojciec Wilhelm Van den Teeraboom o mało nie został pisarzem w kapitule, tylko że nie miał pięknego charakteru w piśmienności i często kleksy stawiał; miał zaciężką rękę, więc téż potém wszedł do służby, do szlachtuzu, zabijał woły i cielęta.

Margot (*n. s.*).

Znać to po synu. (*Głośno*). Patrz pan, a ja sądziłam, kiedy ci panowie mię tak zwiedli, że to pan jesteś owym Janem Rapé, o którym wspominali.

Van den Teeraboom.

Cóż znowu! Ja jestem Van den Teeraboom, Ezechiel Van den Teeraboom, ajent (*wstrzymując się*). Psst! To dobre wino, ale cokolwiek mocne.

Margot.

Ale nie idzie do głowy; ja wypiłam moje dwa kieliszki i nic nie czuję.

Van den Teeraboom.

Oj! I ja nie czuję, nie piłbym inaczéj, tylko mi tak ciepło jest.

Margot.

Témlepiéj, bo dziś na dworze chłodno.

Van den Teeraboom.

Hm! hm! hm! Dobrze panienka mówi — chłodno na dworze. Wie panienka co, kiedy chłodno, wypijmy sobie drugą buteleczkę, to nie zaszkodzi.

Margot (*podając nową butelkę*).

Z pewnością.

Van den Teeraboom (*pijąc*).

Bo gdyby miało zaszkodzić, pan no, jakże panience na imię?

Margot.

Margot.

Van den Teeraboom (*j. w.*).

A tak, panno Margot; więc cóż to mówiliśmy? Aha, mówiliśmy, że mój ojciec, Van den Teeraboom...

Margot.

Mówiliśmy o Janie Rapé.

Van den Teeraboom.

Co znowu o Janie Rapé? Niceśmy nie mówili o Janie Rapé.

Margot.

Przeciwnie, mówiłeś pan coś o nim i o baronie Montigny.

Van den Teeraboom (*pijąc, coraz bardziéj rozmarzony*).

Ja, o baronie Montigny? Ja nic nie mówiłem o baronie Montigny.

Margot (*n. s.*).

Zamało ma jeszcze w głowie. (*Głośno*). Za pańskie zdrowie! panie Van den Teeraboom!

Van den Teeraboom.

Dziękuję; za twoje, panno... Jak się nazywasz?

Margot.

Margot.

Van den Teeraboom (*j. w.*).

Panno Margot, patrz, niema wina.

Margot.

U nas go nie zabraknie (*podając nową butelkę*); ta, sądzę, że ci już wystarczy.

Van den Teeraboom (*j. w.*) (*pijąc*).

Śliczne winko; więc, jakże to tam było z tym... tym...

MARGOT (*poddając mu*).

Janem Rapé.

VAN DEN TEERABOOM.

Aha, tak, Janem Rapé, co z nim było? Z nim nic nie było, bo jego niema, Jana Rapé niema, on (*pokazując giestem na gardło*), on dynda... Jan Rapé dynda.

MARGOT (*n. s.*).

O, mój Boże!

VAN DEN TEERABOOM.

Tak jest, dynda Jan Rapé i jego pan będzie dyndał, jak go złapiemy za twą przyczyną, panno... jak się nazywasz?

MARGOT.

Margot (*n. s.*). Nie mogę mu przerywać wątku myśli, które i tak ledwo się plączą w jego głowie i... może się cóś jeszcze dowiem.

VAN DEN TEERABOOM.

Więc panno Margot, za twoje zdrowie i Jana Rapé, który dynda, a za to ja piję to wino, które jest bardzo dobre, ale mocne i gdybym nie miał tak silnéj głowy.

MARGOT.

I zacóż on dynda, ten Jan Rapé?

VAN DEN TEERABOOM.

Zaco? Chciał uciekać z baronem... i przekupił kapitana statku, który tu na niego czeka; cały statek zakupili i byliby sobie pojechali, gdyby tamten nie dyndał.

MARGOT.

A cóż z tym kapitanem statku?

VAN DEN TEERABOOM.

A, będzie także dyndał. Za twoje zdrowie, panno... jak się nazywasz?

MARGOT.

Margot. Jakże się nazywa ten kapitan?

VAN DEN TEERABOOM.

Nie wiem. Gibier i Diego wiedzą.... Ja nie wiem... mam tylko coś w kieszeni, co gdybym mu pokazał, ale nie pokażę... i panience nie pokażę, choć jesteś ciekawa... Jak tu się mieni światło!... i tak wszystko w około tańcuje... i panienka tańcuje... i jabym téż tańcował, choć to i święto... Ave Maria! Panno..! jak się panna? Za twoje zdrowie, panno... Nie wiem, jak się nazywasz... Jan Rapé... Za zdrowie Jana Rapé!... Ha! ha! ha! on dynda!... Panno... jak się nazywasz?... On dynda... (*powoli osuwa się na ławę i zasypia*).

MARGOT.

Zasnął. Więc Rapé powieszony i musiał wydać barona Henryka na torturach; biedny, nie miał odwagi znieść męczarni; zakupił statek, czy przejazd na okręcie, widać za resztki zebranego majątku, ale jak się nazywa ten statek i jego kapitan? Ten opój mówił że ma jakiś znak w kieszeni; zobaczmy (*przetrząsa kieszenie Van den Teerabooma*), jakiś papier i świadectwo rady rozruchowéj: „okaziciel niniejszego, Ezechiel Van den Teeraboom, ajent rady rozruchowéj... podpisano — Juan de Vargas". Może się to na coś przydać. A to co? Chustka, a tu druga — większa i powiązana tak dziwnie; czyżby to było znakiem? Boże Wielki, zlituj się nad nim i nademną, ześlij mi jaką myśl, wskazówkę jaką — trzy statki stoją tylko w porcie, gdybym, przeczuciem wiedziona, trafić mogła... tu, naprzeciw tego okna, widzieć przed sobą środek ocalenia i nie módz go wynaleść... Ktoś nadchodzi; to drugi zbir. Gdyby także można go spoić, ale nie, trzeba spróbować innego środka: może się da przekupić.

Scena IX.

MARGOT. — GIBIER.

GIBIER.

Pod „Zielonym Smokiem" nikt od trzech dni nie stanął, straciłem daremnie drogę. „Piękna Amelia" kołysze się w przystani, gotowa do podróży, jéj kapitan ani się domyśla jaką podróż niedługo odbędzie; ale gdzież to Van den Teeraboom? Co widzę, mimo ostrzeżeń spiło się to bydlę. Van den Teeraboom! obudź się, pijaku (*trąca go i szarpie*).

VAN DEN TEERABOOM.

Jak się nazywasz, panienko?... twoje zdrowie!... On dynda... (*zasypia*).

GIBIER.

Mortuus (*Do Margot*). Widzę, że nasz towarzysz nadużył trochę wina.

MARGOT.

A tak, wypił trzy butelki Pacharetu i to najlepszego jaki mieliśmy; domagał się gwałtem czwartéj, alem mu jéj już dać nie chciała.

GIBIER.

Widać że mu i to wystarczyło. Panienka dotrzymywała mu towarzystwa?

MARROT.

Ja nie lubię pijaków. (*Pauza*).

GIBIER (*n. s.*)

Ładna dziewczyna! (*Głośno*). Panienka musi się nudzić, tak sama, w téj oberży?

MARGOT.

Mam ciągłe zajęcie.

GIBIER.

Dla rąk, ale dla serduszka?

MARGOT.

O! nie myślę wcale o tém; zresztą, takich coby mię chcieli, ja nie chcę, a ci co mnie się podobają, ani pomyślą pewno o mnie.

GIBIER (*do siebie*).

Jak ona na mię spojrzała, ciarki przeszły po mnie. (*Przysuwa stołek i siada blizko Margot*). Panienka musi mieć dobry gust. Pewno jakiś młody człowiek, przystojny?

MARGOT.

Przystojny, ale nie młody: między 40-ką a 50-ką, to najpiękniejszy wiek dla mężczyzny.

GIBIER (*przysuwając się bliżéj*).

I jakżeby panienka wolała, bruneta, czy blondyna?

MARGOT.

Tak, między tém, a tém.

GIBIER (*rozradowany*), (*do siebie*).

Szatyna! (*Poprawia włosy i coraz bliżéj się przysuwa*); Panienka zna Bruksellę?

MARGOT.

Nigdy tam nie byłam i co prawda, nie jestem ciekawa.

GIBIER.

A to szkoda, — śliczne miasto, wspaniałe kościoły, pałace, a jaki ruch, jakie życie... Jabym panienkę mógł tam zawieść...

MARGOT.

Z panem, możebym pojechała.

GIBIER.

Tak, naprawdę? śliczna panno Margot?

MARGOT.

Gdybyś mię pan bardzo o to poprosił; choć nie myśl pan, żebym była gotowa zrobić to dla pierwszego lepszego; miałam ja bardzo dobre propozycye, które jednak odrzuciłam; ot, nie daléj jak w tym tygodniu, kapitan jednego z tych statków, któreś pan przed chwilą oglądał, chciał mię zabrać ze sobą do Londynu i, kto wie, czy się jeszcze nie zgodzę?

GIBIER.

Nie czyń tego, panno Margot, ty nie wiesz co to znaczy taki kapitan w dzisiejszych czasach. Dziś jest, a jutro go niema.

MARGOT.

Chcesz pan powiedzieć, że często podróżuje.

GIBIER.

Nie tylko to.

MARGOT.

A cóż więcéj spotkać go może?

GIBIER.

Pragnie przewozić zagrubą kontrabandę i wtedy daléj jedzie, niż myślał.

MARGOT.

O, ten na takiego wcale nie wyglądał; bardzo przyjemny człowiek, — podobny do pana, choć pan jesteś przyjemniejszy; ale on — kapitan statku.

GIBIER.

To jeszcze nic wielkiego; ja od żadnego kapitana nie zależę.

MARGOT.

O, i on także nie zależy od nikogo; jest panem na swym statku.

GIBIER.

Tak, póki nim jest.

MARGOT.

No, z pewnością, żebyś mu pan nic nie zrobił.

GIBIER.

Gdybym chciał, to jednemu z nich mógłbym się zaraz przysłużyć.

MARGOT.

Z tych, co tu są w porcie?

GIBIER.

Może nawet twojemu, panno Margot!

MARGOT.

Patrz pan, widać ich z tego okna; gdybym tylko wywiesiła chustkę, podpłynęłaby łódka po mnie i za godzinę byłabym już na pełném morzu.

GIBIER.

Najbliżéj stoi „Piękna Amelia“; jeśli to o tym szybkobiegaczu panienka mówi, to nie radzę.

MARGOT.

Dlaczegóż to?

GIBIER.

Ja na panienki miejscu wolałbym patrzeć bliżéj siebie.

MARGOT.

Może spojrzę, jak mi pan powiesz dlaczego?

GIBIER.

A co dostanę, jak powiem?

MARGOT.

Zobaczymy.

GIBIER.

Da mi panienka całusa?

MARGOT.

O, u nas tak łatwo całusy się nie rozdają; zresztą, co pan możesz o nim wiedzieć; pewno mię pan zwodzisz; po raz pierwszy słyszysz pan o tym statku i jego kapitanie.

GIBIER.

A jak powiem jego nazwisko?

MARGOT.

Nie powiesz pan, bo nie wiesz.

GIBIER.

Karol du Buisson; a co, wiem, czy nie wiem?

MARGOT.

Ja zapomniałam jak się nazywa.

GIBIER.

A, figlarko mała!

MARGOT.

Wreszcie to nie sztuka znać nazwisko kapitana statku, pierwszy lepszy powie je w porcie—to nie dowód, aby mu cóś groziło.

Gibier.

A gdybym powiedział, że gdy zechcę, za parę godzin pan kapitan Du Buisson pojedzie pod silną strażą do Brukselli, a ztamtąd wysoko, bardzo wysoko, co zresztą w żadnym razie go nie minie. Cóżbyś panienka powiedziała wtedy? Czy wolałabyś wtedy pojechać z nim, czy z Hermancyuszem Gibier, twym uniżonym sługą.

Margot.

A jakiż masz pan dowód na to? Bo jeśli tylko mówisz tak sobie, przez zazdrość, to ja zaraz sprawdzę: wywieszę znak przez okno...

Gibier.

Niema strachu, nie przyjedzie, chybaby mu panienka inny znak pokazała, a i toby się na nic nie zdało, bo musi go pokazać dwóch mężczyzn.

Margot.

Przekonam pana, że przyjedzie.

Gibier.

Gdybym miał czas do stracenia, pozwoliłbym ci zrobić tę próbę, bo wiem, żeby się nie udała. Ale za chwilę wróci tu pewno mój towarzysz i będę musiał oddalić się z nim, więc zamiast tego, wolę ci skraść całusa za to, co już powiedziałem, a potém?

Margot (*n. s.*).

Nazywa się — Du Buisson, statek „Piękna Amelia,‘ a znak — z pewnością ta chustka... Dzięki ci Boże! Ale jak go się pozbyć i tamtego drugiego?

Gibier.

Cóż, panienko, nic nie mówisz? Jakże, pojedziemy razem do Brukselli i owego całuska czy dostanę?

Margot.

Jesteś pan bardzo natarczywy.

Gibier.

A ty prześliczna.

MARGOT.

Mój Boże, cóż to ja robię? Tak zapomniałam się przy miłéj rozmowie z panem, żem dotąd nie sprzątnęła nieporządków, jakie pański towarzysz narobił przy winie; z połowę wylał pod stół,—i te butelki próżne schować trzeba.

GIBIER.

Panienka pozwoli dopomódz sobie?

MARGOT.

Jeśli pan tak grzeczny, to proszę zanieść butelki do téj komórki.

GIBIER.

A nacóż próżne flaszki chować?

MARGOT

Żeby je napełnić potém.

GIBIER.

Ale za to dostanę drugiego całuska!

MARGOT.

Jesteś pan nienasycony.

GIBIER.

Z takiém jabłuszkiem, czyż może być inaczéj? (*Zabiera butelki i niesie do komórki; po jego wyjściu Margot podbiega do drzwi i zamyka je na klucz*).

MARGOT.

Drzwi żelazne... okien niema... może krzyczeć do jutra rana; a teraz — do dzieła (*spostrzega wchodzącego don Diega*). Masz tobie, nieszczęście — o trzecim zapomniałam.

Scena X.

DON DIEGO. — MARGOT.

DON DIEGO.

Nie wrócił mój towarzysz ?

MARGOT (*porządkując*).

Nie jeszcze.

DON DIEGO.

A ten, co tu został?

MARGOT (*j. w.*).

Śpi tam na ławie, upił się.

DON DIEGO (*do siebie*).

Przeczuwałem to — nędzny naród te Flamandy, nawet policyantów wartoby powywieszać. (*Głośno*). Nikt tu nie był?

MARGOT.

I owszem.

DON DIEGO.

Któż?

MARGOT.

Ten szlachcic, o którym mówiłam poprzednio.

DON DIEGO.

Tutaj przychodził? i czegóż chciał? gdzie jest? zatrzymałaś go przecie?

MARGOT.

Mówiłam wam już, że „*pod Królem Karolem*“ nie przyjmujemy podejrzanych, ale ten tak mię prosił, że obiecałam przyjąć go na nocleg, jak powróci. Poszedł do krawca, jak mówił, kupić sobie ubranie i ma tu wrócić zaraz. Dał mi prezent na zadatek, żebym go przyjęła napewno.

DON DIEGO.

Jaki? pokaż!

MARGOT.

Ot, ten pierścień.

DON DIEGO.

Dawaj go! Herb Montigny'ch; mamy go nareszcie! biegnę po straż; gdyby tu wrócił, zatrzymaj go: twą głową odpowiadasz mi za niego. To spiskowy, Żebrak, więzień rady rozruchowéj.

MARGOT.

Być nie może!

DON DIEGO.

Tak jest, pamiętaj jaka na tobie ciąży odpowiedzialność.

MARGOT.

Gdybym była wiedziała, byłabym odrazu kazała aresztować.

DON DIEGO.

Nic nie stracone; biegnę po straż.

MARGOT.

A mój pierścień ?

DON DIEGO.

Pozostanie jako dowód w ręku sprawiedliwości.

Scena XI.

MARGOT, potem HENRYK.

MARGOT.

No, teraz ani chwili niema do stracenia. Panie baronie chodź pan coprędzéj.

HENRYK (*wychodząc z piwnicy*).

Jestem, jestem; co każesz, drogie dziecię?

MARGOT.

Nie mam czasu mówić; każda chwila droga, uciekajmy; pomóż mi pan przenieść tego pijaka do tych drzwi, pilnuj tamtych,—tam zamknięty zbir! Czekaj tu na mnie. Musimy uciekać razem! Gdyby ktoś nadszedł, masz pan tu świadectwo, jesteś pan „ajentem rady rozruchowéj"—nazywasz się Ezechiel van den Teeraboom (*podnoszą Van den Teerabooma i prowadzą do drzwi na prawo*),

VAN DEN TEERABOOM.

Tak, jestem Ezechiel Van den Teeraboom. Jak się nazywasz, panienko ? Twoje zdrowie... On dynda... (*Margot z Van den Teeraboomem wychodzą*).

HENRRYK.

Nic nie rozumiem, ale jéj można zaufać: szlachetne dziecię! Naraża się na śmierć dla mnie—biedna dziewczyna z gminu. Ileż wielkich pań nie zdobyłoby się na takie poświęcenie! Nic dziwnego: poczucie obowiązku, miłość dla kraju równa stany tak, jak prześladowanie równa wszystkich w obec cierpienia, a nasze cierpienia tak wielkie! tak wielkie! Boże! czyż już zgasło dla nas słońce nadziei? Czyż wszyscy już mamy iść na śmierć lub wygnanie? Ktoś nadchodzi. Jesteśmy zgubieni.

Scena XII.

HENRYK — VAN DER KNACK.

VAN DER KNACK.

Ha! nareszcie wydostałem się z kozy, a myślałem że już po mnie. Na szczęście pułkownik znał mię dobrze: „taki, jak ty bałwan, powiada, nie umiałby spiskować, gdyby chciał nawet.“ Kazał mię wypuścić. Św. Krysztofie, dziękuję ci, żem nie umarł ze strachu! Będziesz miał cztery świece, cztery wielkie świece, grube jak moja głowa. Ale, gdzież to Margot? Niema jéj, czy ją zabrali? To słusznie; należało jéj się to. Nie modliła się w kościele i przez to mię dziś nieszczęście spotkało.

HENRYK (*n. s.*).

To gospodarz, poznałem go po głosie. Margot mówiła, że go aresztowali.

VAN DER KNACK.

A toż co za jeden gospodaruje tutaj sobie? Panie, co pan robisz?

HENRYK.

Cicho!

VAN DER KNACK (*n. s.*).

Masz tobie, to znów jakiś policyant; oni wszyscy tak mówią: „cicho, ani mrumru;“ może mię znów zechcé aieszto-

wać. (*Głośno*). Panie, łaskawy panie! ja wracam prosto z kozy, zkąd mię wypuszczono przed chwilą. Pan pułkownik powiedział, że ja jestem za głupi do spiskowania i przysięgam panu, że miał zupełną racyą.

HENRYK.

Milcz! Jestem ajentem rady rozruchowéj; widzisz to świadectwo; nazywam się Van den Teeraboom, a pilnuję tu spiskowca, barona Montigny, zamkniętego w téj komórce; czy tu zamek pewny, drzwi?

VAN DER KNACK.

Z żelaza panie, okien niema, nie ucieknie; wielki to zaszczyt dla oberży „pod Królem Karolem,“ że w niéj udało się tak zręcznemu ajentowi pochwycić tak wspaniałą zdobycz!

HENRYK.

Ani słowa więcéj. Siadaj i pilnuj tych drzwi!

VAN DER KNACK.

Już milczę. (*N. s.*). Byleby go jak najprędzéj zabrali.

Scena XIII.

CIŻ i MARGOT *przebrana za mężczyznę.*

MARGOT.

Jestem, panie baronie!

HENRYK.

Mów cicho, to Van der Knack; myśli że pilnuje więźnia.

MARGOT.

Témlepiéj — zyskamy na czasie. Ja jestem Janem Rapé; zginął w Brukselli, ale przedtem zapłacił przejazd twój, panie baronie, i swój na statku „piękna Amelia.“ Oto znak, za którym nas przyjmą; byleśmy dobiegli do portu, jesteśmy ocaleni.

HENRYK.

Van der Knacku, pilnuj więźnia; głową za niego odpowiadasz; my z kolegą biegniemy po straż; (*do Margot pocichu*). Chodźmy.

MARGOT.

Niech Wszechmocny czuwa nad nami!

HENRYK.

O, tak! ja mam nadzieję; On nas ocali i ocali Flandryą gdy ma takie jak ty kobiéty.

MARGOT.

Śmiało więc naprzód, w imię Boże!

Scena XIV.

VAN DER KNACK — potem DON DIEGO ze strażą, potem GIBIER, wreszcie VAN DEN TEERABOOM.

VAN DER KNACK.

Boże mój, znów mię febra trzęsie! Taka odpowiedzialność na mojéj głowie! Klucz jest w zamku; gdyby się przekręcił, krach! już mię niema! Oj, niedobrze mi; bylem tylko nie osłabł, bo jutro szubienica!

DON DIEGO (*wpada ze strażą*).

Gdzie on jest? czy już przyszedł? co to jest? Van der Knack! Zkądeś się tu wziął?

VAN DER KNACK.

Wypuszczono mię z kozy; powiedzieli że jestem za głupi, ale ja pilnuję więźnia, siedzi tu pod zamkiem.

DON DIEGO.

Gdzie? otwórz.

VAN DER KNACK.

Dziękuję, może uzbrojony.

DON DIEGO.

Głupi tchórzu (*otwiera drzwi, w których staje Gibier*). A cóż to, Gibier?

GIBIER.

Tak, to ja, wypadkiem wszedłem tutaj i ktoś mię zamknął. (*Do Van der Knacka*). To ty, rozbójniku, dopuściłeś się téj zbrodni!

VAN DER KNACK.

Ja? Przez Bóg żywy; panie, gdzieżbym ja się ośmielił? To ten... ten... wielmożny ajent... ten Van den Boomboom... kazał mi pilnować więźnia.

DON DIEGO.

Gdzie? Van den Teeraboom był pijany. Co się tu dzieje? Gdzie jest ta dziewczyna? Zobaczmy jeszcze w téj izbie, (*wchodzi ze strażą we drzwi na prawo*).

GIBIER.

Póki okręt w porcie, jesteśmy bezpieczni. (*Patrzy przez okno*). A tóż co? Jakaś łódka podpływa do „*pięknéj Amelii*, rozwijają żagle; wstrzymajcie się!

(*Don Diego ze strażą wprowadzają Van den Teerabooma*).

VAN DEN TEERABOOM.

Jestem Van den Teeraboom... Jak ci na imię, panienko?... Twoje zdrowie!... On dynda...

DON DIEGO.

Jeszcze nie wytrzeźwiał, a dziewczyny niema, uciekła.

GIBIER (*n. s.*).

Wystrychnęła mię na dudka. (*Słychać strzał armatni*). Widzicie, „*piękna Amelia*" odpływa, a na pokładzie ten wysoki brunet.

DON DIEGO.

To baron Montigny, uciekł z dziewczyną; (*do Van der Knacka*) — wypuściłeś więźnia; odpowiesz nam za to, pójdziesz na szubienicę!

VAN DER KNACK

To już było widać przeznaczone.

DON DIEGO (*do straży*).

Prowadźcie go do pułkownika.

VAN DER KNACK.

Jeśli do pułkownika, to mię uspakaja; wie z kim ma do czynienia — każe mię wypuścić.

KONIEC.



Don Diego, Gibier, Van den Teeraboom... spudłowali.



…, Gibier, Van den Teerabom… spuitowali.